

Polityka zagraniczna w amerykańskiej walce wyborczej

Przez wiele lat było niepisaną tradycją w amerykańskiej walce wyborczej o Białą Dom, że polityka zagraniczna w tych zmaganiach nie odgrywała pierwszoplanowej roli. A jeśli już, to raczej stawała się czynnikiem obciążającym hipotekę ubiegającego się o ponowny wybór urzędującego prezydenta lub innego kandydata z jego obozu politycznego. Tak było w przypadku prezydenta Woodrow Wilsona, którego silne zaangażowanie na arenie międzynarodowej, w tym udział Stanów Zjednoczonych w I wojnie światowej oraz bezprecedensowa obecność amerykańskiego przywódcy na konferencji paryskiej, stanowiące pogwałcenie „świętej zasady” izolacjonizmu, przesądziło o wyniku wyborów prezydenckich w 1920 r. Zwycięstwo odniósł wówczas kandydat z konkurencyjnej Partii Republikańskiej, opowiadający się za trzymaniem Ameryki z dala od problemów światowych, zwłaszcza europejskich.

Warto też przywołać przykład z niedawnej przeszłości. Wszak w 1992 r. demokratyczny kandydat Bill Clinton swą kampanię wyborczą prowadził pod hasłem „It’s economy, stupid”, stanowiącym chwytliwą trawestację słynnego sloganu Republikanów z 1920 r. „America First”. W przypadku Clintona było to równoznaczne z odcięciem się od działań urzędującego prezydenta George’a H. W. Busha seniora, którego uwaga skoncentrowana była przede wszystkim na polityce zagranicznej oraz rozwiązywaniu mniejszych i większych wyzwań na arenie międzynarodowej. Pozostawiona z boku polityka wewnętrzna zaowocowała recesją, wzrostem bezrobocia i rosnącym deficytem budżetowym.

Nr 90 / 2012
10'08'12

INSTYTUT ZACHODNI
im. Zygmunta
Wojciechowskiego
Instytut Naukowo-Badawczy,
Poznań

Autor:
Jadwiga Kiwerska

Redakcja:
Marta Götz
Radosław Grodzki
Krzysztof Malinowski

Zwycięstwo Clintona wydawało się potwierdzać, że Amerykanie chcą prezydenta, którego uwaga skupi się na wewnętrznych problemach kraju. Dlatego nie przeszkadzał im brak u niego doświadczenia w polityce zagranicznej, bardziej docenili kompetencje i zapowiedzi Clintona odnoszące się do kwestii gospodarczych i społecznych.

Zresztą podobny manewr zastosował George W. Bush junior w 2000 r., gdy ze swojego dyletanctwa w kwestiach międzynarodowych uczynił korzystny dla siebie argument. Przekonywał, że do rozeznania zawiłych problemów światowych służyć mu będzie ekipa kompetentnych i doświadczonych doradców, on zaś skoncentruje się na kwestiach o zasadniczym znaczeniu dla kraju, czyli polityce wewnętrznej i odwoływaniu się do wartości. Zdecydowanej krytyce natomiast poddawał politykę zagraniczną Clintona, uważając, że demokratyczna administracja zbyt silnie angażowała Amerykę w sprawy świata. Bo też osiem lat urzędowania Clintona w Białym Domu – wbrew temu co zapowiadano w kampanii wyborczej – wcale nie było czasem wycofania się czy choćby osłabienia obecności amerykańskiej w świecie. Wprost przeciwnie – mieliśmy do czynienia na przykład ze zbrojnymi interwencjami USA na Bałkanach i Haiti, podjęciem – nieskutecznych dodajmy – wyzwań związanych z międzynarodowym terroryzmem, zaangażowaniem dyplomatycznym w konflikcie bliskowschodnim. W efekcie Ameryka utrzymała status lidera i kreatora na arenie międzynarodowej, a jej zaangażowanie w różnych rejonach świata było znaczące. Budziło to podziw, ale też niekiedy potęgowało niechęć i irytację.

Dlatego w kampanii wyborczej 2000 r. Bush ostro krytykował administrację Clintona dowodząc, że prowadziła ona „akcje bez wizji, zaangażowanie bez priorytetów, misje bez końca – podejście, które marnotrawiło amerykański zapał i trwoniło energię”. Potęga Ameryki uwikłana została w sprawy o drugorzędym znaczeniu, działano „od kryzysu do kryzysu”. Sam więc wzywał USA do większej pokory w działaniach poza własnym terytorium i liczenia się z reakcją świata. Powiadał: „Ameryka nie może być wszystkim dla wszystkich. Jesteśmy miłującym wolność krajem i jeśli będziemy aroganccy, to będą nas tak traktować, a jeśli będziemy skromni (*humble*), będą nas szanować”. Zwycięstwo Busha nad reprezentującym linię Clintona dotychczasowym wiceprezydentem Albertem Gore’em mogło sugerować, że nastąpi powrót do polityki powściągliwej i ograniczonej w celach - skupionych na żywotnym interesie Ameryki.

Cóż, bardzo szybko bieg wydarzeń zweryfikował te wyborcze zapowiedzi. W bezprecedensowy sposób – atakiem Al-Kaidy na Amerykę – prezydent Bush poddany został presji, która nie tylko fundamentalnie zmieniła jego podejście do amerykańskiego zaangażowania na arenie międzynarodowej, ale spowodowała, że



polityka zagraniczna w kolejnych kampaniach wyborczych – i to zarówno w walce o Białą Dom, jak i wyborach do Kongresu – stała się tematem głównym, niemalże przesądającym w głosowaniu. To zdecydowana, oparta na sile i możliwości działania unilateralnego reakcja administracji Busha na terroryzm międzynarodowy przyniosła mu zwycięstwo w wyborach i reelekcję w 2004 r. Wówczas jego strategia walki z zagrożeniem terrorystycznym wydawała się skuteczna i właściwa, odpowiadająca potrzebom chwili i najlepiej zabezpieczająca Stany Zjednoczone. Te same czynniki zdecydowały o zwycięstwie Republikanów w wyborach do obu izb Kongresu. Powstała sytuacja niemalże bezprecedensowa, gdy to o wyborze senatora czy kongresmana decyduje bardziej polityka zagraniczna urzędującego prezydenta niż wewnętrzna sytuacja w kraju. Ale też był to moment szczególny – większość Amerykanów nadal znajdowała się w głębokim szoku, wywołanym atakiem Al-Kaidy. Wybrali zatem prezydenta, który swoją determinacją na arenie międzynarodowej przywróci im poczucie bezpieczeństwa, utracone 11 września 2001 r.

Te same względy – charakter działań administracji Busha, a przede wszystkim konsekwencje jego strategii zewnętrznej – przesądziły o wynikach wyborów mid-term do Kongresu w 2006 r. (utrata przez Partię Republikańską większości w obu izbach), ale przede wszystkim zdecydowały o porażce kandydata Republikanów w walce o Białą Dom. Zwycięstwo Baracka Obamy w 2008 r. nie mogło być odczytane inaczej jak tylko potwierdzenie, że bilans ośmiu lat obecności Busha w Białym Domu jest zdecydowanie ujemny, zarówno w odniesieniu do polityki wewnętrznej, jak przede wszystkim strategii zewnętrznej. To, co początkowo wydawało się skuteczną i właściwą odpowiedzią na zagrożenie terrorystyczne, okazało się groźną dla pozycji USA w świecie oraz ich relacji z wieloma państwami rewolucją w stosunkach międzynarodowych. Tzw. doktryna Busha łamała dotychczasowe zasady ładu światowego, była też manifestacją amerykańskiej siły i arogancji. Spowodowała więc ostrą i krytyczną reakcję za granicą, a w rezultacie bezprecedensowe załamanie w układzie transatlantyckim. Dopełnieniem negatywnych konsekwencji było osłabienie rangi i roli USA w świecie.

Nic dziwnego, że ubiegając się o najwyższy urząd w państwie, demokratyczny kandydat Obama uwagę skoncentrował między innymi na odbudowie dobrego wizerunku Ameryki w świecie, a zwłaszcza wśród europejskich sojuszników. Dlatego jeszcze w trakcie kampanii wyborczej przyjechał do Europy, aby tutaj przedstawić priorytety swej polityki zagranicznej. Wyjątkowość sytuacji polegała na tym, że dotąd nie zdarzyło się w historii USA, aby kampanię wyborczą prowadzono także poza granicami kraju. Tymczasem kandydat Demokratów zdecydował się na podróż za



granicę, aby stamtąd odezwać się do Amerykanów (i Europejczyków). Było to wyjątkowe tournée przedwyborcze – Obama w lipcu 2008 r. odwiedził Londyn, Paryż i Berlin, wszędzie wzbudzając entuzjazm tłumów (w stolicy Niemiec oklaskiwał go blisko ćwierćmilionowy tłum). Stało się to jego niekwestionowanym atutem w walce wyborczej. Ten aplauz Europejczyków powodowany był nie tylko dość powszechną niechęcią wobec urzędującego jeszcze Busha, ale nadzieją, że nowy prezydent zmieni podejście Ameryki do świata, Europy i problemów międzynarodowych. Że więcej będzie dialogu, konsultacji i uznawania racji innych, mniej zaś arogancji i uciekania się do użycia siły. Podobne oczekiwania formułował amerykański elektorat – chciał przywódcy, który dokona zmiany w traktowaniu świata i jego wyzwań, a w efekcie przywróci Ameryce szacunek społeczności międzynarodowej, odbuduje jej rangę w świecie. Można powiedzieć, że w ten sposób zbiegły się w jednym punkcie i w odniesieniu do jednej osoby oczekiwania amerykańskiej i zagranicznej opinii publicznej. Osłą tych oczekiwań była amerykańska polityka zagraniczna.

Opis tego historycznego kontekstu wydaje się o tyle zasadny, że pozwala lepiej ocenić obecną kampanię wyborczą i pojawiające się w niej wątki międzynarodowe. Generalna teza – przynajmniej biorąc pod uwagę dotychczasowy przebieg walki wyborczej (jej apogeum jest jeszcze przed nami) – sprowadza się do stwierdzenia, że nie sprawy polityki zagranicznej będą w niej dominowały. Powodem tego jest światowy kryzys gospodarczy, dotyczący również Amerykę, który koncentruje uwagę amerykańskiego elektoratu, podobnie jak niepokoje polityków i opinię w świecie. Z drugiej strony nie unikniemy oceny dokonań prezydenta Obamy na arenie międzynarodowej. Czy nadzieje, jakie świat, Europa, ale też Amerykanie wiązali z czarnoskórym prezydentem, odnoszące się do polityki zagranicznej, zostały spełnione. – to jest pytanie zasadnicze, które w kluczowych momentach walki wyborczej stawiać będzie konkurencja.

Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Z pewnością Obamie stosunkowo wcześniej udało się odzyskać dla Ameryki część jej dobrej reputacji. Wróciło także więcej harmonii i dobrej atmosfery w relacjach z europejskimi sojusznikami. Pomógł fakt, że administracja Obamy zmieniła styl uprawiania polityki – doceniono znaczenie negocjacji w miejsce siły militarnej, zademonstrowano wolę współpracy i wysłuchiwanie racji partnerów. Można było odnieść wrażenie, że pragmatyzm w działaniu i konsultacja zastępują charakterystyczną dla Busha ideologizację polityki i autorytaryzm w podejmowaniu decyzji. Po stronie aktywów wielu zapisałoby również wyprowadzenie amerykańskich wojsk z Iraku, choć przecież generalny bilans operacji wojskowej w tym regionie świata trudno uznać za pozytywny i Obama tej oceny nie



zmienił. Inne pole, na którym obecna administracja odcisnęła spektakularne piętno, to relacje z Rosją. Symboliczne już „resetowanie” dokonane we wzajemnych stosunkach samo w sobie było wydarzeniem ważnym. Wszak na poprawie tych relacji skorzystać mogło wielu i takie też przekonanie dominowało, zwłaszcza w Europie Zachodniej. Efektem pozytywnym było podpisanie w grudniu 2009 r. nowego traktatu START, poważnie zmniejszającego limit amerykańskich i rosyjskich głowic jądrowych. Z drugiej jednak strony „reset” w stosunkach z Rosją oznaczał rezygnację z pierwotnych planów budowy tarczy antyrakietowej, co wyraźnie uderzało w interesy bezpieczeństwa Polski – w końcu tak bardzo sojuszniaka Ameryki.

Zresztą nie tylko Polska może czuć się rozczarowana polityką administracji Obamy, jakkolwiek wyzbyliśmy się już wielu złudzeń co do naszego miejsca w strategii Waszyngtonu. Trudno pozytywnie ocenić bilans relacji transatlantyckich. Nie negując znaczenia większej harmonii w stosunkach Ameryki z Europą, to jednak wspólnocie tej nadal brakuje silnego impulsu, potwierdzającego sens jej istnienia i skutecznego funkcjonowania. A tego należało oczekiwać przede wszystkim od Stanów Zjednoczonych jako głównego filara tego układu. Nawet wspólna operacja wojskowa w Afganistanie, ze względu na narastające tam trudności i problemy, nie służyła umocnieniu solidarności atlantyckiej. Tymczasem Europa mogła tylko obserwować, jak jej ranga i rola słabła w amerykańskich kalkulacjach. Następuje bowiem reorientacja amerykańskiej polityki zagranicznej – z atlantyckiej ku Pacyfikowi. To jest rzeczywisty bilans dokonań prezydenta Obamy w relacjach z Europą. Nie znaczy to, że części winy za ten stan rzeczy nie ponosi strona europejska – nadal bardzo powściągliwa w ponoszeniu większej odpowiedzialności za sytuację w świecie.

Z kolei polityka czystej dyplomacji, ukazywania przede wszystkim łagodniejszej twarzy Ameryki, czy to w odniesieniu do Iranu – jak było na początku urzędowania Obamy, czy wobec świata arabskiego i to nawet kosztem stosunków z Izraelem wcale nie wzmocniła rangi USA w świecie. Znaleźliśmy się w punkcie, który dla wielu analityków oznacza początek kresu amerykańskiej dominacji, wręcz koniec wieku Ameryki. Pisze się o świecie poamerykańskim, który jawi się już na horyzoncie. Chodzi nie tylko o konkurencyjność Chin i pozostałych państw tzw. BRIC, utwierdzeniu tego przekonania służą też – zdaniem wielu – takie posunięcia administracji Obamy, jak zapowiedziane wielkie cięcia w amerykańskim budżecie obronnym, marginalizowanie współpracy z Europą i ograniczenie wojskowej obecności Amerykanów na kontynencie, utrata wpływów w innych regionach świata. W efekcie jesteśmy świadkami pojawienia się nowych potęg, których pozycję określa zwiększony potencjał gospodarczy, za którym prędzej czy później przyjdą silne ambicje polityczne.



Wydaje się, że administracja Obamy nie znalazła na to skutecznej odpowiedzi. Raczej miotła się bezradnie, w końcu podejmując stricte militarne działania: ataki militarne na terenie Pakistanu czy udział w operacji zbrojnej przeciwko reżimowi Kadafiego.

Pytaniem pozostaje, jak silnie te ważne i kontrowersyjne kwestie zostaną wyartykułowane w toku dopiero nabierającej rozpędu kampanii wyborczej. Czy kandydat Partii Republikańskiej, którym niemal na pewno zostanie Mitt Romney, podejmie te wyzwania? Jak w tym kontekście należy oceniać wizytę potencjalnego kandydata Republikanów w Europie? Mając na uwadze pierwotne założenie, że polityka zagraniczna nie odegra w tej walce wyborczej pierwszorzędного znaczenia, to jednak niewątpliwie będzie miejsce na bilans dokonań administracji Obamy na arenie międzynarodowej oraz pojawi się konieczność zaprezentowania przez Romneya jego katalogu zamierzeń wobec świata.

Bez względu na to, kto zwycięży w wyścigu o fotel w Białym Domu, to nie uda się odwrócić zasadniczego kierunku amerykańskiej polityki zagranicznej, która coraz wyraźniej będzie nakierowana na rejon Pacyfiku. Sama wizyta Romneya w Wielkiej Brytanii, Izraelu i Polsce ma wymiar bardziej taktyczny niż strategiczny. Zresztą opinie komentatorów są tutaj dość zgodne. Podróże te podyktowane były chęcią „wypunktowania” Obamy, dokonania pośredniej krytyki jego zaniedbań wobec Polski czy Izraela i tym samym pozyskania pewnej określonej grupy wyborców, niż oznaczały zapowiedź zasadniczej zmiany amerykańskiej strategii. Można być bowiem pewnym, że czynniki ekonomiczne – konkurencja na tym polu Azji oraz względy polityczne – zagrożenie terrorystyczne i związane z proliferacją broni masowego rażenia wymuszą utrzymanie pozaeuropejskich priorytetów w polityce.

Z kolei rola Europy w polityce amerykańskiej zależeć będzie przede wszystkim od tego, w jakim stopniu nasz kontynent spełni oczekiwania Ameryki i zwiększy swe zaangażowanie na różnych polach i w różnym charakterze. Stanowisko Republikanów i Demokratów będzie w tej kwestii niemal identyczne. Nie ma odwrotu od sytuacji, w której Europa zmuszona będzie przejąć część zobowiązań i ciężarów w myśl zasady: USA wykonują swoją partię zadań, ale Europa też musi wypełnić swoją, bo w dobrym partnerstwie nie ma pasażerów na gapę.

To, co w pewnym stopniu różnić będzie demokratycznego prezydenta w Białym Domu od gospodarza republikańskiego, to ich sposób wypowiedzania się na temat roli i pozycji Stanów Zjednoczonych w świecie. Politycy Partii Republikańskiej pozostają przywiązani do koncepcji, w myśl której o randze tej decyduje siła militarna Stanów Zjednoczonych, ich zdolność podejmowania skutecznych i odważnych decyzji,



nie wykluczając działań przy użyciu siły. Mówią o tym głośno i zdecydowanie. Natomiast prezydent Obama w retoryce pozostanie wierny przekonaniu, że Ameryka powinna przede wszystkim używać swej *soft power* – świecić przykładem, przekładać negocjacje nad akcje zbrojne. W praktyce jednak wcale już tak wierny tej zasadzie być nie musi. Zwłaszcza wówczas, gdy dynamika wydarzeń na arenie międzynarodowej zmusi do działań radykalnych i skutecznych.

Obserwujmy zatem amerykańską kampanię wyborczą, ale nie spodziewajmy się, że obaj kandydaci przedstawią programy polityki zagranicznej różniące się fundamentalnie lub mające zasadniczy wpływ na ostateczny wynik wyborów. Choć jeszcze wiele może się zdarzyć.

Jadwiga Kiwerska - prof. dr hab., pracownik Instytut Zachodniego i WSNHiD w Poznaniu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.

Publikacja dofinansowana przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Stowarzyszenie Instytut Zachodni.

